

arystokracji. Byli oni bardzo czołobitni dla arystokratów przyjeżdżających z obcych krajów.

Na to rzekł m: Wobec tego wyjaśnij mi, Abduchi, jak ów płytki naród mógł się stać tak potężnym?

— Byli oni potężnymi tylko liczbowo, prztem Amerykanie zgromadzili taką ilość złota, że upili się formalnie pieniędzmi!

— O rozkoszny kraj! wykrzyknąłem.

Lecz starzec pokręcił głową: To prawda, książę, rezultat jednak tego był bardzo nieszczęśliwy. Olbrzymie bogactwa rządziły wszystkim nawet rządem i sądownictwem. Fin nsowemi operacjami zgromadzili oni bajeczne sumy pieniędzy. Mode następne pokolenia zdemonizowały się, bowiem uczciwe zajęcia z skromnymi dochodami stały się dla nich rzeczą wartą śmiechu.

— Tak, to było naturalnem — powiedziałem, Lecz w kraju, gdzie wszyscy byli bogaci, czy znaleźli się tacy, którzyby chcieli spełniać niższe prace? Wszak nikt nie zechce przerzucać błota, gdy kieszenie ma pełne pieniędzy.

— Nie wszyscy byli bogaci. A skoro i ubodzy okazali się chciwymi, wtedy nabrali wojowniczości. I wtedy rozpoczęły się socjalne walki, połączone z przelewem krwi i ruiną.

20 maja.

Lodowy wichur z potokami deszczu dmie z północnego wschodu. Wczoraj oddychaliśmy spazmatycznie z powodu gorącego powietrza — dzisiaj na odwrót, drżymy z zimna w zimowych szatach.

21 maja.

Jest tak, jak wczoraj! Większość z nas cierpi z powodu zimna. Zęby moje szczękają i jest mi naprzemian gorąco i zimno. Nigdy gorsza burza nie targła okrętem. Omar nazywa ją krzyczącymi głosami stumiljonów Amerykan, którzy bezwątpienia zginęli w takiej atmosferze.

16 czerwca.

Minęło wiele dni od czasu, jak ostatni raz pisałem w tym dzienniku. Miałem wstrętą chorobę, która zburzyła mą energję i odwagę. Nie potrafię jej opisać, chociażbym nawet chciał.

Wczoraj wieczór Abdul wszedł do mej kajuty z kilkoma metalowymi płytami starożytnych Amerykan. Nie przyznaje on im zupełnie intelektualizmu. Przez chwilę sądziłem, że się przegadał — lecz miał słusność, jak zwykle. Było to tak:

Abdul: Oni dużo czytali!

Kan Li: Mówiłeś już nam, iż nie mieli literatury. Czyż mogli wiele czytać, gdy nie mieli jej?

Abdul: Słusznie to powiedział. Codziennie publikowali oni szerokie karty papieru, na których z precyzją opisywali k złą zbrodnię. Im zbrodnia była okropniejsza, tem dokładniej była opisana. Skandale pochłaniali głodnymi oczyma. Kroniki te wydawali w sto-tysięcznych odbitkach.

Prawie każda rodzina w kraju czytała to.

Kan Li: I to im zastępowało literaturę?

Abdul: Tak!...

20 czerwca.

Znów jesteśmy na morzu, o dwa dni podróżą oddaleni od Nu-Jok. Decyzja nasza była nagłą. Abdul znalazł wśród tych przeklętych płyt mapę kraju, w następstwie czego poczuł silną chęć odwiedzenia miasta zwanego „Washington”. Wahatem się, lecz w końcu się zgodziłem, jak sądzę zrobiłem głupio, bowiem załoga statku tęskni do Persji. Miasto to leży nad rzeką w głębi kraju. Abdul mówi, iż jest to najpiękniejsze miasto, była siedziba rządu oraz stolica kraju. Ab-i-Ganu przysięga, iż zdoła go odnaleźć, jeżeli karta jest prawdziwą.

Hason dotąd jeszcze jada sam.

Dziś popołudniu spoczywaliśmy na pokładzie, podczas, gdy „Testudo” płynął spokojnie na południe. Ziemia była widoczną po prawej stronie okrętu — nieokreślona linja po zachodniej stronie horyzontu.

Nieco popołudniu, skoro przepłynęliśmy obok ruin olbrzymiej wieży — była to zapewne latarnia morska. — Abdul nagle wstał i dookoła się obejrzał. Następnie spojrzał Ab-i-Ganna, jak daleko jesteśmy oddaleni od nowojorskiej zatoki. Zapomniałem już odpowiedzi jednakowoż ona mocno poruszyła starca. Ujrzałem niezwykle blask jego oczu i drżenie palców, skoro wskazując na otaczające nas morze rzekł:

— Pod nami, w głębiach morze jest pokryte żelaznymi okrętami — ruinami największych okrętów w historii ludzkości.

Wzbudziło to nasze natychmiastowe zainteresowanie.

— Jakże okręty — zapytałem — i co je zniszczyło? Czy była tu bitwa?

Abdul: Bitwa, olbrzymia bitwa, przechodząca pojęcie każdego Persa, bitwa od której drżało morze i niebo darło się w pasy z powodu grzmotów żelaznych mocarstw. Jeden z nichby wystarczył, by obrócić całego „dółwia” w atomy.

Jafar-el-Beg: Czy możliwe? To jest gładko powiedziane, lecz nie zdaje mi się być wiarygodnem. Na „dółwiu” czułbym się dosyć silnym, by się oprzeć kióremuś z tych bajecznych cudów.

Abdul: Mądrym jesteś. Bowiem uirata twego mózgu, Jefar-el-Begu, nie może wpłynąć na twą mowę!...

Cięta ta replika wzbudziła wśród nas śmiech. Jafar-el-Beg z miłki.

Kan Li: Opowiedz nam Abdul, o owej bitwie. Przypominam sobie teraz, iż czytałem o niej w kolegium. Szczegółów jednak z historii starożytnej nie pamiętam. Jak to było?

Abdul: Mówiłem wam już, iż Amerykanie byli skąpymi. Ich zachłanność spowodowała w końcu ię wojnę. Podbili oni sobie lwią część handlu na świecie. To, oczywiście, sparaliżowało przemysł i handel innych narodów, aż wreszcie najpołężniejsze narody Europy skoalizowały się dla samoobrony przed owem wszystko pochłaniającem skąpstwem.

Zgromadzili amerykańscy olbrzymią armję morską. Wtedy z poza oceanu przybył nieprzyjaciel. I w tym miejscu, które przepływamy nastąpiło spotkanie obu flot.

Kan Li: Ileż było okrętów?

Abdul: Amerykanie mieli 80 wielkich okrętów i wiele mniejszych, nieprzyjaciele 240 wielkich, wszystkie były z żelaza. Prócz tego miał nieprzyjaciel wiele małych statków do rozmaitych celów.

Kan Li: Na Allacha! Była to brzydka sprawa dla naszych skąpych przyjaciół. Będąc narodem handlarskim, musieli oni nienawidzić wojny.

Abdul: Co do tego historycy nie są z sobą zgodni. Sami Amerykanie sądzili o sobie, iż byli potężnymi wojownikami. Niektórzy jednak z ówczesnych pisarzy twierdzą przeciwnie. Alael-Kalaf jest przekonany, iż byli oni ichórzami, słabemi na ciele i duchu. Według opnł bitwa owa rzuca jasne światło na całą sprawę. Był to dzień podobny do obecnego, także czerwcowy, gdy Europejczycy płynąc wzdłuż wybrzeża na północ, by dotrzeć do Nu Jok, napotkali admirała Bed-fo raf z jego 80 okrętami. Bitwa nie długo trwała.

Kan-Li: Wierzę, iż tak było! Ponieważ Europejczycy mieli po trzy okręty przeciw jednemu dałbym im pół dnia, popołudniu podobne do obecnego, by skąpców odestać na dno.

Abdul: Twe przypuszczenie jest słuszne, książę, co do czasu trwania bitwy. Trwała ona akurat przez letnie popołudnie. Lecz to Amerykanie byli tymi, którzy wystali wrogów na dno. Morze pod naszymi stopami jest pokryte żelaznymi ciałkami.

Kan-Li: Do diabła! To zakrawa na bajkę i nie wątpię, iż owi skąpcy nie byli tak do niczego.

Omar: Kiedy się to działo?

Abdul: W pierwszej połowie XX wieku. Daty nie pamiętam, lecz nie zapomnieli jej nigdy Amerykanie. Słusznie byli dumni, bowiem w dniu tym dokonywali cudów. Sam Bedford był w czasie bitwy otoczony dwunastoma wojennymi okrętami niemieckimi. I o o pogruchołał wszystkie dwanaście. Francuskich i rosyjskich okrętów zatopił tę samą lczbę, a także kilka okrętów belgijskich i włoskich.

Omar: Do licha! Ładna zabawa!

Abdul: Tak! Cudu owego dokonali Amerykanie w jednym dniu. „Teksas”, okręcił ze szpiczastym przodem wybił dziury w 20 wielkich okrętach i zaopił je. Inny niewielki okręt, długi a wąski, wynalazek Amerykan, też wielkie poczynił szkody. Płynął on tu i tam między obcymi okrętami i uszkadzał je. Komendantowi przysporzył on wiele żałoby.

Ab-i-Gami: A ile okrętów stracili Amerykanie?

Abdul: Raporty o tem są sprzeczne. Wedle relacji Amerykan nie stracili ani jednego, wedle innych kilka.

Kan-Li: Ładna to była bitwa. Jak jednak możesz wyjaśnić, iż ów płaski naród stał się nagle „bohaterskim”.

Abdul: Według Bamesa, ówczesnego brytyjskiego historyka mieli oni na morzu dobre szanse. Owo zdanie znajduje poparcie hiszpańskiego admirała Molino, który sądzi, iż Amerykanie, jako naród bezbożny byli wspomagani przez Szatana.

2 lipca.

Jesteśmy na rzece, która wiedzie do „Washingtonu. Ab-i-Gami twierdzi, iż ujrzymy go jutro. Rzeka ma brudny kolor.

3 lipca.

Widzimy przed sobą ruiny olbrzymiej kopuły, a także wysoką kolumnę. Zapewne należą one do miasta, którego szukamy.

4 lipca.

Daty powyższej nigdy nie zdołam zapomnieć! W jak najweselszym nastroju opuściliśmy „Testudo” tego poranka nie przeczuwając ni trochę tych strasznych przeżyć, które nas czekały. Około południa wylądowaliśmy w towarzystwie Abdula, Omara, Józefa Hason, Jafara-el-Beg’a, Mulai’a, pierwszego porucznika, Amada, Kuchana, Faku-Dina i dwu marynarzy. Właśnie rozpoczęliśmy marsz, gdy zaskoczyło nas niepokojące odkrycie. Na życzenie Abdula zatrzymaliśmy się, by odczytać jakiś napis na kamieniu, gdy Omar, który podążył naprzód naraz zatrzymał się z okrzykiem. Pospieszaliśmy do niego i na wilgotnej ziemi ujrzeliśmy ślady... stóp ludzkich.

Zdziwienie moje było nie do opisania. Uradziliśmy iść śladami i wnet nabraliśmy przekonania, iż prowadzą nas one do wielkiej kopuły, dokładniej niż sami mogliśmy iść. Podniecenie nasze nie miało granic. Ci z nas, którzy mieli przy sobie broń trzymali ją w pogotowiu. Drożka była mało używana, lecz łatwo widoczna. Kręciła się ona serpentyną między rozwalonemi fragmentami budowli i rozpadającemi się statkami i prowadziła nas szeroką aleją między wielkimi i schludnymi budynkami, które o wiele przewyższały te, które widzieliśmy w Nu-Jok. Wyglądało to jak miasto pomników.

Gdy weszliśmy na wzgórek wiodący do wielkiej świątyni i ujrzeliśmy ją przez drzewa rozkładające się nad nami, podziwialiśmy jej wielkość i piękność. Oczy nasze z rozkoszą błąkały się po potężnych kolumnach. Każda z nich była wykuta z jednego bloku, a były one białe i świeże, jakby ociosane. Droga poprowadziła nas popod jedną z małych arkad i dotarliśmy na drugą stronę. Tę znaleźliśmy piękniejszą, niż tamą. W środku znajdowały się schody niezwykle szerokości; obecnie rozpadające się i gdzieś tam porośnięte trawą i kwiatami.

Wchodząc w milczeniu na owe schody, gdy inni posępowali za mną, ujrzalem dwie nogi ludzkie, podeszwami do nas zwrócone, przerzucione przez balustradę na górę. Gestem zwróciłem na to uwagę Abdulowi, którego oczy zaświeciły radością. Miałaby to być Amerykanin? Wyznaję, iż możliwość spotkania podnieciła mnie. Ilu ich tu było i jak nas przyjmą? Spojrzawszy na mą gromadkę, by się przekonać, czy są wszyscy, odważnie przebiegłem następne schody i stanąłem przed nim...

Spoczywał on na dziwnym, czteronożnym krzeselku, trzymając nogi na balustradzie, na jednym pozomie z głową. Ubrany w skóry i grubą materję, robił wrażenie myśliwego, a patrzył na mnie ze spokojem, jakby pe ski dostojnik był tu codziennym gościem. Takie przyjęcie mi się nie podobało, tem więcej, iż pozostał w pozie siedzącej i nawet nóg nie zdjął. Poruszył tylko głową kilka razy, jakby to było wystarczającym powitaniem.

Chcąc zachować mą powagę wobec towarzyszy nie mogłem pozwolić, by barbarzyńiec siedział i gestem dałem mu do zrozumienia, iż należy wstać. Odpowiedział wypluciem brudnej cieczy za balustradę przed nami. I spoglądając na mnie drwiąco, lecz z tą samą powagą na twarzy, rzekł coś niemuzykalnym głosem, czego nie rozumiałem.

Na to Abdul, który rozumiał jedno, czy dwa słowa zbliżył się żwawo i przemówił doń w jego ojczystym języku. Barbarzyńiec jednak z irudnością rozumiał z powodu wymowy Abdula. Ten ostatni objaśnił mi potem, iż język mężczyzny nie wiele różni się od narzecza Amerykan, którego używali przez 11 wiekami.

Gdy wreszcie powstał i rozmawiał z Abdullem mogłem go lepiej obserwować. Był on wy-